

Marek J. Chodakiewicz

Podchorąży „Jastrzębiec”

„Czołem ułani!” witał radośnie swych wnuków. Malcy odkrzykiwali „Czołem!” W domu w rogu stała lanca z proporcem 24 pułku ułanów kraśnickich. Nad kominkiem wisiał potężnych rozmiarów obraz patriotyczny, który jego syn, Hubert, wynalazł gdzieś na jakimś wiejskim jarmarku pod Chicago. „Acha,” mawiał rozpromieniony Pan Wojciech wskazując na obraz, „a myślą, że Hubert to głupi Amerykanin!” „To co, panie podchorąży,” żartobliwie szydziłem sobie z niego, „Hubert to tak jak Pan. Polska dusza w nim wre, no nie?” Natychmiast odkrzykiwał: „Ty jesteś oszołomem! Wszyscy Polacy to romantycy! Pod ścianę z nimi!”

Ale z syna był dumny; z córki też, bo studiowała w Europie: „Przynajmniej liźnęła coś mądrego zanim zaszyła się na dzikim Zachodzie!” łypał na mnie zabawnie okiem, prostując roztrzaskaną w wypadku samochodowym nogę i zaciągając się nieodstępnym papierosem.

Wojciech Cioromski miał specyficzne poczucie humoru. Udawał cynika i przez całe dorosłe życie do dużego stopnia bezskutecznie walczył ze spóścizną wychowania romantyczno-patriotycznego, które odebrał w Polsce. Poza tym był skarbnicą wiedzy o osobach prawie zupełnie zapomnianych, a niezwykle zasłużonych dla kultury, nauki i historii polski. Szczególnie znał się na środowisku ziemiańskim. Ale zacznijmy od początku.

Wojciech Cioromski herbu Jastrzębiec urodził się w 3 marca 1921 r. w Lesznie w Wielkopolsce. Dzieciństwo i młodość spędził w rodzinnym majątku pod Poznaniem. „Można było regulować zegarek, gdy lądowały samoloty.” Niedaleko było lotnisko.

W 1939 r. państwo Cioromscy zostali wysiedleni i deportowani z Poznańskiego. Wojciech znalazł się w Krakowie. Potem przeniósł się do majątku Średnia Wieś w Krasnystawskim, który należał do państwa Janisławskich. Żył na wpół nielegalnej stopie, poruszając się w środowisku ziemiańskim, podziemnym, niepodległościowym Generalnego Gubernatorstwa. Na przykład, w 1942 r. w Warszawie przebywając w towarzystwie „białych” Rosjan poznał Bolesława Piaseckiego z przedwojennego Ruchu Narodowo Radykalnego „Falanga”, a ówczesnie komendanta Konfederacji Narodu.

Kiedy indziej, w Lublinie u pani Niny Rolland grał w karty z kilkoma tuzami towarzystwa a w tym z panem Chruścielewskim z majątku Wierzchowiny i z wybitnym prawnikiem polskim, współpracownikiem podziemia i Rady Głównej Opiekuńczej oraz właścicielem majątku Zarzeczce nad Sanem, mecenasem Jerzym Hofmokl-Ostrowskim. Niedługo potem mec. Hofmokla zamordowali komuniści podczas rabunku dworu.

Do konspiracji właściwej pana Wojciecha wciągnął jego kuzyn, plutonowy podchorąży Jurand Pluciński („Jurand”). Wysiedlony z majątku Lusówka w poznańskim, „Jurand” był w Narodowych Siłach zbrojnych. Jego ciotka miała majątek w kraśnickim. Była zaprzyjaźniona z pp. Boduszyńskimi i Rojowskimi, którzy mieli maj. Radlin, na pograniczu kraśnickiego i lubelskiego. W majątku przechowywała się m.in. pani Krauze, śpiewaczka. Tam też pan Wojciech dobił do oddziału NSZ kapitana Wacława Piotrowskiego („Cichy”) w marcu 1944 r. Przybrał pseudonim „Jastrzębiec.”

Przez cały czas znajdował się w polu. Większość potyczek i walk jego oddział w tym okresie staczał z komunistami. W kwietniu 1944 r. bił się z tzw. „Armią Ludową” pod Potokiem, Marynopolem i Zakrzówkiem. Walki pierwsza i ostatnia były zwycięskie dla NSZ, a w drugiej obie strony poniosły poważne straty. Pod Bożą Wolą „Jastrzębiec” grzał z

karabinu do sowieckich sanitariuszek, które pod ochroną ognia swoich współtowarzyszy podpały polskie chałupy w pacyfikowanej wsi. „Pierwszy i ostatni raz strzelałem do kobiet. Ale nie było wyjścia!”

Bywało też inaczej. Również w kwietniu 1944 r., jako zastępca dowódcy patrolu Romana Dżalika („Szatan”), „Jastrzębiec” ze swymi partyzantami wziął do niewoli sowieckich skoczaków pod Bychawą. „Cichy” kazał ich wypuścić. Podobnie kilka tygodni później złapali oddziałek ex-Sowietów z niemieckich *Ostlegionen*. Po rozbrojeniu zwolniono ich.

Moje ulubione opowieści Pana Wojciecha z partyzanckiego okresu są naturalnie nieortodoksyjne. Obie dotyczą st. strzelca z cenzusem „Fali” czyli Marii „Dzidzi” Zub-Zdanowicz z Poray-Wybranowskich. Również poznanianka i dobra koleżanka „Jastrzębca”, Dzidzia była sanitariuszką u „Cichego”. Pewnego razu po długim, forsownym marszu, w trakcie którego NSZowcy wymknęli się z niemieckiego okrążenia, „Jastrzębiec” z innymi żołnierzami padli na ziemię na leśnej polanie i zaczęli pożerać łapczywie posiłek, który błyskawicznie przygotowały sanitariuszki. „Tymczasem Dzidzia latała między nami, strącając nam czapki z głów i wyzywając nas od chamów i barbarzyńców, bo z zakrytą głową nie wypada jeść. W taki sposób kobiety bronią cywilizacji zachodniej nawet w najbardziej ekstremalnych warunkach!”

Dругa przygoda partyzancka miała miejsce w Zakrzówku. NSZowcy zalegli na noc. W pewnym momencie „Jastrzębiec” stwierdził, że większość jego patrolu gdzieś zniknęła. Udał się ich tropami. Okazało się, że chłopaki zabawiali się w pobliskiej stodole, która służyła jako dom publiczny. „Ciemno było strasznie. Jeszcze oczy nie przyzwyczyły mi się do zmroku, gdy jakaś panienka chwyta mnie za rękę i ciągnie na siano. Nagle – groźny krzyk przeciął powietrze i snop światła z latarki rozproszył ciemność. To Dzidzia rozpedza rozswawolone towarzystwo. Dzięki temu uratowała mi życie, bo okazało się, że moja pensjonariuszka była ruda i garbata!” śmiał się do łez na to wspomnienie Pan Wojciech, waląc się w charakterystyczny sposób w wyprostowane kolano. Nota bene, wkrótce personel wiejskiego domu rozrywki wychłostał i rozpedził por. Stanisław Łokuciewski („Mały”) z AK.

W czerwcu 1944 r. „Jastrzębiec” ukończył kurs podchorążych. Promował go płk. Wacław Świącicki („Tuwar”). Następnie wysłano „Jastrzębca” z misją do Warszawy. Pod koniec miesiąca widział się ze mjr. Leonardem Zub-Zdanowiczem („Ząb”). „To był dziko odważny i równy dowódca.” „Ząb” rozkazał mu wracać na lubelszczyznę z poleceniem aby „Cichy” natychmiast przechodził przez Wisłę na Kielecczyznę.

Po powrocie Pan Wojciech brał udział w operacji „Burza”. W tym czasie „Cichowcy” biwakowali w lesie przez trzy dni z oddziałem partyzanckim żydowskim. Potem przemykali się wśród uciekających na Zachód Niemców. Nie udało się przekroczyć Wisły. Na wieść o wejściu Sowietów oddział NSZ rozpuszczono. „Jastrzębiec” z kilkoma kolegami dekowali się w jednym z majątków.

Z lipca i sierpnia 1944 r. w pamięć wbiły mu się szczególnie dwa przypadki. Pierwszy Sowiet, którego spotkali natychmiast zastrzelił przywiązane do płota pięknego arabawierzchowca, na którym jeździł „Jastrzębiec”. „Eto na wierno łaszadz pomieszczika!” „To napewno koń obszarnika!” Pięćdziesiąt lat potem Pan Wojciech kiwał głową z niedowiarą i powiedział: „Taki koń! Komuniści niszczyli wszystko co piękne.” Zaraz zaczęły się w okolicy rabunki i aresztowania. W związku z tym „Jastrzębiec” upił się tej nocy z kolegą i zaczęli strzelać do portretów przodków – a było to w Radlinie. „Wiedzieliśmy, że nadszedł koniec naszego świata. Lepiej było samemu ze wszystkim skończyć, niż pozwolić komunie plugawić dorobek pokoleń.”

Za regularną Armią Czerwoną ciągnęła chmara rozmaitej chałastry, a w tym i grupy małoletnich sierot. Byli to w większości chłopcy sowieccy zbrutalizowani wojną. „Jastrzębiec” był świadkiem jak miejscowa milicja – składająca się w tym czasie w większości z partyzantów niepodległościowych – aresztowała dwóch sowieckich chłopców. Obrabowali oni i zamordowali miejscowego Żyda, który przeżył okupację niemiecką. Sprawców przekazano NKWD. Zostali oni jednak niebawem zwolnieni i pokazali się w okolicy dysząc zemstą.

Pod koniec sierpnia „Jastrzębiec” wyruszył w stronę Warszawy. Miał nadzieję przebić się na pomoc Powstaniu. Nie udało się. Pod Otwockiem natknął się niespodziewanie na płk. „Tuwara” z NSZ. Ten rozkazał mu szukać kontaktów na Berlinga. Był spanikowany terrorem. Chciał się dogadywać z komunistami. „Jastrzębiec” wrócił do Lublina, gdzie wnet aresztowały go NKWD i UB. Torturowano go straszliwie. „Bili mnie jak w bęben. I pytali: ‘Kto to Tuwar?’ Na szczęście nie wiedziałem jak się pułkownik naprawdę nazywa ani gdzie przebywa. Tak mnie bili, że wszystko bym im powiedział.”

Trafił do więzienia na Zamku w Lublinie. Potem przeniesiono go do Wronek pod Poznaniem. „Tam to był w końcu porządek, a nie burdel jak w Kongresówce! Strażnik Sikora służył w tym więzieniu za Kaisera Wilhelma, za II RP, za Hitlera i za komuny.” Dzięki łapówce, staraniom rodziny i organizacji podziemnej, „Jastrzębcowi” udało się uciec z więzienia jesienią 1945 r. W Polsce nie mógł zostać. Zaopatrzone go w fałszywe dokumenty opiewającymi na jakiegoś komunistycznego prokuratora. Wraz z kolegą, Zbyszkciem Wilczyńskim, uciekli do Berlina.

„Berlin miasto w gruzach leży,” żartował. „Wchodzimy do kafejki, a właściwie była to zrujnowana piwnica pod niemal całkowicie rozwaloną kamienicą, a tam całe morze Niemaszków. Przyjrzelisi nam się uważnie. Mieliliśmy na sobie długie skórzane płaszcze, buty oficerki. Nagle Niemaszki poderwali się, każdy podniósł łapę w górę i krzyknęli ‘Heil Hitler!’ Myśleli, że myśmy swoi. Człowiek się odruchowo za kaburę złapał. Tylko w mordę walić.”

Wnet Pan Wojciech dotarł do Maczkowa, do 1 dywizji pancernej PSZ. Zameldował się w 24 pułku ułanów kraśnickich. Dowódcą jego szwadronu był porucznik Feliks Rohatyn. Był to późniejszy głównodowodzący wojsk pancernych Izraela i brat słynnego nowojorskiego bankiera, który doradzał prezydentowi Nixonowi. Pewnego razu, w kwietniu 1946 r., na horyzoncie, jak okiem sięgnąć, wokół bazy 24 p.uł. zapłonęły stosy ofiarne. W ten sposób nieskruszeni narodowi socjaliści obchodzili urodziny Hitlera. Porucznik Rohatyn rozkazał: „Szwadron na koń” i polskie czołgi wyszły w pole rozjeżdżając płonące stosy, a przy okazji i świeżo zasiane i zaorane pola w promieniu 50 hektarów.

Zresztą Polscy żołnierze nagminnie odreagowywali na cywilnych Niemcach wojnę i okupację. Przed świętami Bożego Narodzenia 1945, gdy ludność pobliskiego miasteczka udała się z piłami i siekierami po choinki, sztab postawił pułk w stan alarmowy. „Niemcy robią powstanie!” Ułani wyjechali czołgami i wozami pancernymi, aresztując niemal całe miasteczko. Pognano przerażoną ludność kilka kilometrów do bazy brytyjskiej. Anglicy zlitowali się i uwolnili „jeńców.” Podchmieleni polscy ułani odjechali, zadowoleni z siebie.

„Łapało się Niemca,” opowiadał Pan Wojciech, „i pytało: ‘Lubisz Stalina?’ Jeśli odpowiadał twierdząco, to biło się go w mordę, bo Stalin to naturalnie kat Polaków. Jeśli odpowiadał przecząco, to też się go biło w mordę, bo Niemaszek nie miał przecież prawa nie lubić Alianta.” Po latach Pan Wojciech podkreślał, że „potrzebna nam była ta okupacja Niemiec. Człowiek odreagował wszystkie horrory i upokorzenia. Z psychologicznego punktu widzenia, to postawiło mnie na nogi po Polsce.”

Potem „Jastrzębiec” siedział jakiś czas w Anglii, a następnie – po demobilizacji – znalazł się w USA. Osiadł Chicago. Początkowo postępował dokładnie tak samo jak reszta

emigracji niepodległościowej. „Byłem cholerny romantyk!” Przełom nastąpił jesienią 1956. Na zebraniu „NID” koledzy Pana Wojciecha uchwalili aby iść na pomoc powstaniu na Węgrzech. „Koniec! Odciołem się od takich żonek.” Pan Wojciech zajął się interesami. Wnet wybudował jedną z najbardziej poważnych firm obrotu nieruchomościami w Chicago. Jego żona, Pani Grażyna, skoncentrowała się na rodzinie i pracy społecznej. Ród Cioromskich za wielką wodą działał zgodnie z wielkopolską tradycją.

Odwrotnie niż większość kolegów – którzy komunę bojkotowali – jeździł już na początku lat 60dziesiątych do PRL. Lepiej niż oni widział degrengoladę moralną spowodowaną przez komunę. „Spotkałem kolegę oficera przedwojennego, który był kelnerem w Hotelu Bristol. Prawie się popłakał na mój widok. Tak było na początku. A potem? Nie dość, że ukradł mi 100 dolarów, to jeszcze doniósł na mnie do UB.”

Wiele lat później Pan Wojciech przywiózł ze sobą w odwiedziny do Polski syna Huberta. Siedzieli w jednym poznańskich hoteli przy barze. Obok popijali jacyś miejscowi, a w tym kobiety, najwyraźniej krewne bądź nawet żony. Nagle do towarzystwa przysiadły się prostytutki. Były zupełnie niezażenowane i oczekiwały oferty. Miejscowi zupełnie zrelaksowani zaczęli z prostytutkami prowadzić miłą rozmowę. Zdegustowany Hubert odwrócił się do Pana Wojciecha, „Tato, jak to? Nie przeszkadza im, że to dziwki? Czy nie mają szacunku do siedzących obok kobiet – swoich krewnych?” Pan Wojciech odparł: „Hubert, to PRLowcy cholerni. Tak tutaj już jest pod komuną. Polski naszej nie ma.”

Ale podchorąży „Jastrzębiec” nie miał Polski w nosie. O rodzinnych okolicach pamiętał i po wojnie. Pozostawał – jak powiadał – „w konszachtach z księdzem i miejscowymi.” Stale słał jakieś dary do parafii i okolic. Kilka lat temu denerwował się czy do parafii dotarł jakiś kilim czy dywan. Utrzymywał kontakt z krajowymi organizacjami kombatanckimi, a w tym ze Związkiem Żołnierzy NSZ, który wspomagał. W Chicago też pozostawał czynny społecznie. A właściwie oddelegował do tego swą żonę, panię Grażynę. „Grażyna idzie Polskę zbawiać!” krzyczał za nią z kuchni, gdy wychodziła na jakieś polonijne zebranie. Jak zwykle udawał, że go nic nie obchodzi. Ale wykladał pieniądze na opozycję antykomunistyczną, na „Solidarność,” na Kościół.

Dla mnie był zawsze niesamowicie życzliwy. Nie tylko dzielił się opowieściami i dokumentami, ale również ciągał po kolegach. „Chodź, idziemy na śniadanie u pułkowników.” To dzięki niemu poznałem śp. płk. Jana Jurewicza i innych. Zawsze można było się coś nowego dowiedzieć, coś nowego usłyszeć.

Organizowane przez Pana Wojciecha spotkania towarzyskie (wiek przeciętny uczestników 87 lat) pomogły mi nie tylko nauczyć się nowych spraw z historii Polski. Były to również lekcje w historii osobistej.

Było to towarzystwo hermetyczne. Tym ludziom skończył się świat w 1939 albo 1945. Opowiadali o tym świecie stale. Mecenas Jerzy Przyłuski wspominał jak było u mego pradziadka w Wilnie w 1929 r. Jan Jurewicz opowiadał jak poznał generała Taczanowskiego, dowódcę z powstania styczniowego, oraz inż. Adama Doboszyńskiego, przyjaciela mej rodziny. Robert Lewandowski wspominał o zabawach w Brukseli ze śp. Wojtkiem Ostoją, którego znałem z Kalifornii. Inny gość był spokrewniony z generalskim synem Markiem Januszajtisem, który o mało nie ożenił się z siostrą mego wice-rodzica Zdzicha Zakrzewskiego. Jan Zamojski opisał okoliczności zabicia przez Niemców brata stryjecznego mojej babci, Janusza Cieszewskiego, który zarządzał przedsiębiorstwami przemysłowymi w jego Ordynacji.

Tym sposobem zbierałem okruchy historii do kupy: I to wszystko dzięki Wojciechowi Cioromskiemu. W zamian wymagał abym przyprowadzał do niego w odwiedziny młodzież polską. Pohukiwał na nich po swojemu. Zanim jeszcze przekroczyli próg jego domu krzyczał:

„Czy ma Pan rodziców w PRL? Tak? Proszę ich natychmiast rozstrzelać! To PRLowcy! Nie? To jeszcze gorzej! To znaczy, że są oni romantykami i oszołomami. Pod ścianę! Natychmiast!” Większość była zaszokowana i obrażona. Tylko nie liczni rozumieli o co chodzi i lubowali się w tych wizytach.

Podchorąży „Jastrzębiec” zmarł 13 sierpnia 2003. Zawsze będę pamiętać komplement jaki od niego dostałem przy okazji naszego ostatniego spotkania: „Marek, ty też jesteś oszołomem, tylko bardziej inteligentnym.” I będę pamiętać, że wybaczał mi zawsze, że tytułowałem go „Panie Podchorąży” mimo, że dosłużył się porucznika.

Marek Jan Chodakiewicz

15 maja 2004

Washington, DC

www.iwp.edu

(Na podstawie notatek z wielogodzinnych rozmów, 12 maja 1994, 25 października 1996 i 10 marca 1997, oraz wielu spotkań i pogawędek telefonicznych między 1994 a 2002).